



---

Ewa Stawicka

**DE RE PUBLICA**

---

**F**lota starożytnego Rzymu służyła ochronie rozległych jego granic, w późniejszych okresach także transportowaniu towarów którymi handlowano. Marynarze wywodzili się z najniższych warstw społecznych, w tym również spośród niewolników. Okręty wojenne znajdujące się na morzu miały pozostawać jak najdłużej niewidoczne dla przeciwnika, dlatego też żagle często farbowane były na kolor niebieski, a załogantom wydawano odzież granatowej barwy.

W historii nowożytnej nie było na morzach większej potęgi aniżeli brytyjska. Pomysł jednolitego umundurowania załóg zrodził się dopiero w drugiej połowie XVIII wieku; nawiązano do najstarszej znanej tradycji i od tamtej pory we flotach – wielu zresztą krajów – granat dominuje w kolorystyce ubiorów. Dotyczy to przede wszystkim szeregowych majtków. Wokowały kształt bluz marynarskich bierze zaś swój początek od powszechnie stosowanego sposobu „rekrutowania” prostych marynarzy. Jeśli zbliżał się czas wypłynięcia, a nie zgłosiła się dostateczna liczba ochotników, wówczas bosman wyruszał do portowej tawerny. Upatrzywszy młodego osiłka mocno zamroczonego alkoholem, zarzucał mu na głowę przygotowany w tym celu worek, przewijając delikwenta w pasie powrozem, po czym – z pomocą swoich towarzyszy – włókł go na pokład. Tam dopiero wycinano w przymusowym odzieniu otwory na głowę i ręce. Porwany drab, oprzytomniawszy na pełnym morzu,

nie miał innego wyboru jak stać się członkiem załogi królewskiego statku lub okrętu.

Stroje kadry dowódczej, zwłaszcza w angielskiej marynarce, od zawsze cechowała duża doza elegancji. Jeden wszak element stał się wspólny dla marynarskich bluz i oficerskich mundurów: czarny krawat. Stanowi on symbol wieczystej żałoby po bohaterze brytyjskiej armady Horacym Nelsonie.

Wielki admirał przez dziesięciolecia, na różnych morzach i w rozmaitych wojnach budował swoją sławę niepokonanego dowódcy, wspinając się po coraz wyższych jej szczeblach pomimo poważnych i trwałych okaleczeń doznawanych w wyniku wystawiania się podczas potyczek na widok wrogów. W 1805 roku został śmiertelnie ranny pod Trafalgarem, w trakcie wygranej bitwy przeciw armadzie hiszpańskiej i francuskiej. Było to ostatnie w dziejach wielkie starcie bojowych żaglowców. Jednostka nosząca dowódcę zwycięzców zwała się „Victory”. Umierając, Nelson miał ponoć wyszeptać do podtrzymującego go oficera: „zaopiekuj się biedną Lady Hamilton”. Emma Lyon, córka kowala, z zawodu tancerka, dzięki wielkiej urodzie stała się wziętą londyńską modelką. Poślubił ją arystokrata; Hamiltonowie nie mieli potomstwa. Admirał Nelson (sam żonaty) był stałym gościem ich salonu, wreszcie Emma została jego metresą, powiła też jego córkę, której dano na imię Horatia. Poród odbył się w willi położonej na uboczu, co dyskretnie zorganizował Sir Hamilton. Jednak tuż po narodzinach dziecka, admirał otwarcie zamieszkał w wynajętym przez siebie, innym domu razem z obojgiem małżonków – co wprawdzie dostarczyło materiału do plotek, lecz nie zaowocowało jawnym skandalem. Kiedy admirał konał na pokładzie „Victory”, męża Emmy nie było już wśród żywych. Czy to w wyniku ogólnego życiowego zagubienia, czy też niedotrzymania obietnicy trzymania w pieczy przez podwładnych Nelsona – dawna muza malarzy, podziwiana ongiś przez samego Goethego, wpadła w nałóg alkoholowy i po kilku latach umarła w nędzy.

Sława admirała Nelsona na około sto lat przyćmiła osiągnięcia współczesnego mu innego wielkiego brytyjskiego żeglarza, James’a Cooka. Na zainteresowanie odkryciami geograficznymi przyszedł czas dopiero po wygaśnięciu zbiorowej pamięci o bitewnych zgiełkach wojny o niepodległość Stanów Zjednoczonych Ameryki oraz wojen napoleońskich. A przecież, pionierskie wyprawy podejmowane przez Cooka na przestrzeni mniej więcej dziesięciolecia, miały przełomowe znaczenie nie tylko dla kartografów (mapy Nowej Zelandii stworzone podczas rejsu w 1769 roku były powielane i służyły aż do roku 1994!), botaników (liczba roślin znanych światu zachodniemu powiększyła się wtedy co najmniej o jedną czwartą), geografów (eksplorowano nowe lądy, wyspy, cieśniny). Pobudziły one

śmiałość wyobraźni następnych wielu pokoleń żeglarzy. I stworzyły nowe perspektywy polityczne dla brytyjskiego imperium. Statki dowodzone przez kapitana Jamesa Cooka zapędziły się pod Alaskę, w okolice południowego koła podbiegunowego, do Australii.

Piąty spośród ziemskich kontynentów został przez Cooka odkryty (niejako na nowo, po zlekceważeniu jego istnienia dwa wieki wcześniej przez Portugalczyków) przypadkiem, kiedy załoga statku „Endeavour” zbierała się do powrotu z długotrwałej wyprawy naukowej której celem była Nowa Zelandia. Okazało się, że napotkany ląd jest od tej wyspy znacznie rozleglejszy – choć, z drugiej strony, dużo mniejszy aniżeli mityczna „ziemia południowa”, której istnienie uczeni (na czele z Ptolemeuszem – etnicznym Grekiem urodzonym w II wieku po Chrystusie i działającym na terenie Egiptu pozostającego wtedy pod rzymską władzą) podejrzewali od ponad tysiąca lat. Kapitan Cook uroczystie objął Australię we władanie w imieniu króla Jerzego III.

Aborygeni nie wzbudzili większego zainteresowania odkrywców, sami także nie przejawiali ochoty na bliższe zapoznanie się z nimi. Kraj kangurów, dzikich psów dingo, dziwacznych gadów i dziesiątków innych, niezwykle dla Europejczyków stworzeń, okazał się zdalny do skolonizowania. Postanowiono, że rolę pionierów odegrają więźniowie. Osądzeni za różnorakie przestępstwa kryminalne, od 1788 roku sukcesywnie wysyłani byli statkami do Australii. W ciągu czterdziestu kolejnych lat osiedlono w ten sposób – głównie w miejscu dzisiejszego Sydney – sto sześćdziesiąt tysięcy skazanych, radykalnie tym samym odciążając brytyjski system penitencjarny. U celu podróży, przybysze nie byli poddawani rygorom takim, jakimi zwykło się krępować swobodę więźniów: ich zadaniem było zagospodarowanie się na własną rękę, a w domyśle władz – również przygotowanie gruntu dla przyszłych dobrowolnych osadników. Ci ostatni nie kwapili się jednak z przyjazdami; ruch migracyjny zintensyfikował się dopiero po roku 1830, kiedy to ląd australijski zaczęły wybierać jako swoje miejsce na ziemi liczne rodziny, nie tylko zresztą z Europy, ale również z Chin. Ponieważ jednak olbrzymie połacie ziemi nadal leżały odłogiem, w XX wieku podjęto nowy rodzaj akcji kolonizacyjnej, wysyłając z Anglii statki pełne dzieci – bynajmniej nie w celach adopcyjnych, lecz do pracy. Były to nie tylko sieroty z domów dziecka, ale także maluchy i nastolatki porywane przymusowo z biednych rodzin, które wskutek tego przestawały korzystać z pomocy socjalnej państwa. Proceder trwał od lat trzydziestych do sześćdziesiątych i objął co najmniej trzy tysiące małoletnich.

Kiedy legendarni, wykarmieni na Kapitolu przez wilczyce bliźniacy, wydorósławszy postanowili zasiedlić gościnną dla nich ziemię, zaczęło się od bratobójczej walki o władzę, w której zginął

Remus. Romulus następnie przystąpił do kolonizowania terenu, który od jego imienia przyjął nazwę Rzym. Sposób na pozyskanie osadników wynalazł dość prosty, acz oryginalny: utworzył mianowicie w granicach swego królestwa azyl, w którym mógł się schronić każdy przybysz o najciemniejszej nawet przeszłości, również kryminalnej. W specjalnie wydzielonym gaju wkrótce zaczęło mieszkającym dokuczliwie brakować towarzystwa niewiast. Kurtuazyjne wizyty składane ościennym plemionom nie przynosiły pożądanых rezultatów: ojcowie i bracia wzbraniali się wydawać dziewczęta ze swych rodów za okrytych fatalną sławą rzezimieszków. Romulus zastosował kolejną odkrywczą taktykę: odczekał kilka lat, w trakcie których sąsiednie ludy stopniowo zapomniały wojowniczym Rzymianom ich proveniencję, i stały się skłonne do nawiązania bezpośredniego pokojowego kontaktu. Wyprawiono wielkie igrzyska uwieńczone wystawną ucztą. Przybyły na nie okoliczne ludy, wśród których liczebnością wyróżniali się waleczni Sabinowie; oni właśnie przywiedli ze sobą najwięcej kobiet – swoich żon, a i panien. W kulminacyjnym momencie biesiady, na dany przez władcę znak, każdy z Rzymian porwał jedną sąsiadkę. Goście wrócili do swoich domów zdruzgotani i z punktu zaczęli obmyślać plan zbiorowej zemsty. Po pewnym czasie zorganizowany został, pod wodzą władcy Sabinów Tytusa Tacjusza, najazd na Rzym – w celu odzyskania podstępem porwanych niewiast. Wojnę rychło przerwały jednak sabiniańskie kobiety, które płaczem i krzykami ubłagały obydwie strony konfliktu, aby zaprzestały dalszej walki. Dziewczyny zdążyły się już przywiązać do nowych mężów (także w tych wypadkach, gdy wcześniej miały już innych w rodzimym plemieniu), a jednocześnie nie chciały stać się przyczyną zguby swoich ziomków. Ostatecznie, władca Rzymu (ten sam który wcześniej zamordował swego brata bliźniaka w grze o tron) dobrowolnie podzielił się władzą z przywódcą interwentów, budując wspólnie z nim spójny organizm państwowy. Co było dalej z Sabinkami, w szczególności czy aby nie tworzyły one trójkątów – bliżej nie wiadomo; w każdym razie, nie kontynuuje tej relacji Ciceron w napisanym po wiekach od tamtych mitycznych wydarzeń dziele „O państwie”.

Analizując na kartach *De re publica* ustrój państwa zastany w I wieku przed narodzeniem Chrystusa, wyraża Ciceron przekonanie, że społeczeństwo nie jest chaotycznym zbiorowiskiem, a *zjednoczeniem wielu mężów w umowie, w odniesieniu do tego, co jest słuszne i sprawiedliwe, a wiąże się we wspólnym interesie*. Wszystkich obywateli, niezależnie od ich majątku czy znaczenia, łączą dwie fundamentalne zasady państwowotwórcze: sprawiedliwość (*ius*) oraz wspólny interes (*utilitas*). Odbiciem tej prawdy są podstawowe zadania republiki. Jeśli państwo nie zadba należycie o sprawie-

dliwość lub o wspólny interes obywateli, stanie się funkcjonalnie bezużyteczne.

Sławny rzymski polityk, prawnik, filozof, pisarz i wojskowy dowódca, przytoczeniem historii o porwaniu Sabineek najwidoczniej chciał dać współczesnym sygnał, iż słuszność i sprawiedliwość postępowania należy filtrować przez kryterium społecznego interesu. Jak się wydaje, spora liczba politycznych działaczy wszech czasów uznała tę myśl za swoją. Obecnie należałoby jednak dostrzegać problem, który jawi się jako niejasność pojęcia dobra wspólnego: satrapa i demokratę podłożą pod nie – i rozgłoszą – całkiem rozbieżne treści.

Dzieje bliższe nam aniżeli mit założycielski starożytnego Rzymu, pochodzenie ludności dalekiej Australii czy zapisy przedwiktoriańskich obyczajów z morskim panowaniem w tle – to kolonizowanie Syberii zesłańcami, których jedyną winą były zmagania o zachowanie tożsamości narodowej, osobistej wolności oraz odziedziczonego po przodkach majątku. Powtórkę z tych dziejów ze zgrozą obserwujemy dzisiaj, kiedy tuż obok, na naszych oczach rozgrywa się dramat ukraińskich kobiet zmuszanych do emigracji, dzieci poddawanych kidnapingowi i rusyfikacji oraz mężczyzn kierowanych do „filtracji”, a w jej wyniku mordowanych bądź kierowanych do zasiedlania obcych terenów.

Demografowie oraz ekonomiści przyklaskują postępowaniu polegającemu na zachęcaniu Ukrainek wraz z ich potomstwem do trwałego osiedlania się w Polsce. Niewątpliwie, jest to Cynceronowskie pojmowanie dobra wspólnego. Czy jednak przyświecają mu sprawiedliwość ze słuszością? A może my sami niechcący wypełniamy skrojony na terazniejszą modłę, nowy mit o Sabinkach?